Cena 18 fen. — 13 cent.

Nr. 7. Rok X.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla rodzin polskich.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom

ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 1-go Kwietnia 1896. Nr. 7.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

I.

Opuszczona siedziba.

Głęboka cisza wieczorna zapełniła samotną dolinę, zamkniętą dziewiczym brazylijskim lasem, niedaleko od ogromnej rzeki Uruguaju. W samym środku tego zakątka, odgrodzonego nieprzebytą gęstwiną od miejsc zamieszkałych, wznosiła się mała szagra czyli kolonia. Niepozorna ta siedziba była zbudowana w prześlicznem miejscu; na równinie osłoniętej dokoła lesistemi górami, a szczególniej w najbliższem otoczeniu domu uwydatniał się w uroczy sposób zwrotnikowy charakter krajobrazu. W malowniczej piękności tej panoramy przebijał się jakiś szczególnie bolesny wyraz, przypominający odrętwiałość śmierci. Nigdzie, z wyjątkiem wiatru wstrząsającego drzewami, nie było słychać najlżejszego szmeru; cała przestrzeń dokoła wydawała się wymarłą, a mały domek, osłonięty wybujałemi drzewami pomarańcz, straszył prawie opuszczeniem i samotnością.

Przepyszne drzewa zasypywały zaledwie widoczną ścieżkę całem bogactwem swych owoców i wonnem kwieciem. Trawa, ścielące się rośliny i mech jedwabistego połysku ubiegały się o zatarcie śladów człowieka, który już zapewne od bardzo dawnego czasu nie postał w tem miejscu. A jednakże — w prostym kierunku, wiodącym od ogrodzenia opuszczonej siedziby, widać było na miękkim gruncie ślady stóp ludzkich. Były one świeżo wyciśnięte i kończyły się dopiero około wzgórza ocienionego palmami. Na szczycie wzgórza znajdował się krzyż, grubo ociosany, z napisem w języku portugalskim:

Tu spoczywa anioł opiekuńczy mego życia
Najdroższa moja żona
MARYA.
Pokój jej czystej duszy!

Przy tym samotnym grobie kończyły się ślady stóp ludzkich, nigdzie jednak w pośród nieprzeniknionej ciszy nie było słychać głosu, świadczącego o przejściu tędy żyjącej istoty.

Nagle poruszyła się wysoka trawa a ponad nią z cichym jękiem wyprostowała się postać mężczyzny. Klęczał on z głową pochyloną do stóp krzyża, przybity boleścią do ziemi. Ciemne oczy człowieka wpatrzone były w głoski

napisu, migocące na tle krzyża. Głębokie westchnienie, które zerwało tamę martwej boleści, otworzyło usta jego gwałtownie, wraz z żałosną skargą:

— O! moja Maryo!

Leśne echo powtórzyło głos nieznajomego; po chwili podniósł z ziemi skrzypce, prawdziwy wyrób Amatiego.

— Wy tylko jedne pozostałyście mi wiernemi! Wyszeptał, następnie gorączkowo zaczął wodzić po strunach. Wywołane tony były podobne do okrzyku dzikiego, namiętnego bólu; coraz wyżej i wyżej wznosiły się te skargi bez słów. Niezwykłą musiała być burza targająca duszę artysty. Najdotkliwsze cierpienie mimowolną spowiedzią odzywało się z jego pieśni, opowiadając o straconem szczęściu, spóźnionej skrusze i zwątpieniu. Naraz z tego chaosu namiętności wynurzył się ton odmienny, niby czarodziejską wywołany siłą, brzmiący słodko i pojednawczo.

Podczas tych dźwięków łzy trysnęły z ognistych oczu artysty; łagodnie, jak zawstydzone dziecię, położył na bok skrzypce, oparł czoło na ręku i gorzko zapłakał.

Zerwał się z miejsca, usłyszawszy od strony lasu rżenie konia.

Spojrzeniem pożegnawszy drogą mogiłę, udał się w kierunku zasłyszanego głosu. Z wielką zręcznością utorował sobie przejście wśród zarośli, idąc śmiało naprzód, co świadczyło, że strony te były mu oddawna znane.

Nacisnąwszy silniej na głowę ogromny kapelusz panamski i targając na wszystkie strony poplątaną roślinność, nasz nieznajomy wkrótce wydostał się na nieco wolniejszą drogę.

Na wzgórzu pasł się przepyszny wierzchowiec. Był on okulbaczony i za cugle przywiązany do drzewa. Piękne i wygodne siodło, ozdobione mnóstwem srebrnych blaszek i jedwabnych plecionek, świadczyło o swojem meksykańskiem pochodzeniu. Za siodłem wisiał niedbale uczepiony tłómoczek, w olstrach zaś tkwiły dwa bogato srebrem nasadzane pistolety. Zmyślne zwierzę zarżało teraz powtórnie, jak gdyby chciało powitać nadchodzącego pana Tenże zbliżył się przyspieszonym krokiem i przystąpiwszy do bieguna, pogłaskał go przyjaźnie i ujął w rękę cugle. Niedalekim był cel jego podróży, gdyż w parę minut zaledwie później rumak wypoczywał znowu, przywiązany do pinii, stojącej przy uszkodzonem ogrodzeniu samotnej siedziby.

Nasz wędrowiec drżącą ręką nacisnął klamkę, a drzwi, nie otwierane już oddawna, wydały za popchnięciem głuchy odgłos, podobny do ludzkiego jęku. Mimowolnie cofnął się napowrót uderzony dusznem powietrzem, jakie powiało na niego z głębi opuszczonych komnat. Miejsce to musiało być grobem wspomnień dla nieznajomego, kiedy bowiem doszedł do ostatnich drzwi, przycisnął ręką silnie bijące serce.

Firanki, zawieszone u okien, przybrały popielatą barwę, która im nadawała podobieństwo do starej sieci pajęczej, lada chwila zagrożonej rozdarciem. Meble i dywany, wraz z obrazami i innymi przedmiotami służącymi ku ozdobie, były również pokryte warstwą kurzu i pleśni; lecz nie mniej zdawać się mogło, iż osoby zamieszkujące ostatni pokój niezbyt dawno go opuściły. Pod oknem stał wytworny damski stolik, z pięknie uplecionym koszyczkiem do roboty; kłębek, który się ztamtąd wysunął na ziemię, zatoczył się aż ku małemu dziecinnemu krzesełku, na którem leżała niedbale porzucona lalka, wpośród innych drobniejszych zabawek.

Oko przychodnia mierzyło te wszystkie przedmioty dziwnie osłupiałym wzrokiem, przebiegając chciwie wszystkie kąty, jak gdyby mu te opowiadały tajemniczym głosem dzieje szczęśliwszej przeszłości. I w samej rzeczy, gdyby te ściany mogły były przemówić, byłyby zapewne powtórzyły rozczulającą historyą młodej i pięknej kobiety, która wśród nich żyła, kochała i cierpiała w samotności; cierpiała w milczeniu i pokorze, owiana wspomnieniem kilku chwil nietrwałego szczęścia, co po odurzającem upojeniu, nie pozostawiło nic więcej prócz dojmującego bólu. Serce

jej zamierało tu zwolna, trawione żalem i tęsknotą za rodzicielskim domem i oddaloną ojczyzną, któremi pogardziło w szale miłosnego zapomnienia.

Czyliż te zimne mury nie przypominały wszystkiego gościowi? Czyliż nie rozbudziły w jego duszy dawno już uśpionych wyrzutów sumienia, zamiarów niedokonanych i uroczystych przysiąg, których nie wypełnił?

Trudno było odgadnąć z osłupiałej twarzy przychodnia, który ulegając nareszcie fizycznemu i moralnemu znużeniu, wyciągnął się na opylonej sofie i zasnął. Sen jego musiał być przyjemniejszym od rzeczywistości, gdyż powrócił mu choć na parę godzin obraz ubiegłej przeszłości.

A musiał to być obraz pełen niezapomnianego wdzięku, wywołał bowiem na twarz śpiącego uśmiech zachwytu.

Tło do owego obrazu stanowił ubiegły dziesiątek lat, przeżytych obok ukochanej kobiety, jego pięknej Maryi, którą niegdyś jako ośmnastoletnie zaledwie dziewczę oczarował. Wyrzekła się obowiązków córki i słowa danego zacnemu człowiekowi, rzucając się na oślep w nieznaną przyszłość, którą jej w tak pięknych barwach odmalował ognisty, rozmarzony artysta Silvo.

Niestety, owa wymarzona przyszłość, która miała jej w odległej Brazylii, ojczystej stronie męża, otworzyć wrota ziemskiego raju, okazała się, jak każde nieprawnie nabyte dobro, zwodniczą.

Po krótkim śnie szczęścia nastąpiło gorzkie przebudzenie; po przelotnej rozkoszy długa nieprzeżyta boleść. Żona Silvo zapoznała się z cierpieniem, a rozsądek posłużył jej w chwili zastanowienia do rozdarcia zasłony pokrywającej zgubną otchłań, w którą się tak nierozważnie rzuciła. Ale jej żal spóźniony pozostał tajemnicą pomiędzy nią a samym Bogiem, całe jej życie zmierzało jedynie do tego, ażeby przynieść korzystną zmianę w namiętnym, lecz chwiejnym charakterze człowieka, któremu się z takiem poświęceniem oddała. Jednakże całe jej życie, nacechowane anielską cierpliwością, nie wystarczyło na spełnienie tego zadania, i dopiero w godzinie śmierci zdołała nakoniec rzucić zbawienne nasienie w duszę męża, które niegdyś miało przynieść pożądane plony.

Teraz ta smutna godzina żywo stanęła w pamięci artysty. Ileż to razy miał on już ją przed oczyma, zupełnie na jawie. Ileż razy ścigała go na ucztach, mroziła upajające tryumfy talentu, przygłuszała pochwały i oklaski!

Nic więc dziwnego, że i teraz we śnie powracała z równą potęgą. Uśpiony szeptał niewyraźnie:

— O Maryo! przestań się gniewać na mnie. Przysięgam, że wypełnię com przyrzekł. Zrobię, zrobię wszystko co zechcesz, tylko nie płacz przez Boga! Uśmiechnij się znowu do mnie, jak za owych szczęśliwych dni! Mówiąc to wyciągnął rękę, która opadając na twardą krawędź sofy, uczuciem bólu przyspieszyła przebudzenie.

Wstrząsnął się gwałtownie i zawołał:

— Umarli lepsi są od żywych, ona mi musiała przebaczyć, bo czyż stanęłaby przedemną z tym rozkosznym uśmiechem, który tak wcześnie zgasł na jej ustach? Biedna Marya! Jakże okrutny byłem dla niej, pomimo całej miłości! Dom ten stał się jej więzieniem i grobem. Ileż musiała wycierpieć nim śmierć ją z niego wybawiła. Czuję to teraz, kiedy pożerająca tęsknota trawi mię całego.

Wpośród takiej rozmowy z samym sobą, wodził okiem po ścianach i spostrzegł naprzeciw stolika mały obrazek, malowany wodnemi farbami. Sięgnął po niego drżącą ręką, oczyścił z kurzu i zaczął mu się przyglądać z natężoną uwagą. Rysunek ten przedstawiał prześliczny wiejski krajobraz. Na głównym planie widać było wytworny pałacyk z długą fasadą, wznoszący się na wzgórzu, do którego prowadziła długa aleja wysadzona włoskiemi topolami.

Rysunek, jakkolwiek bardzo star[illegible] ny, nie miał w sobie nic nieżwykł[illegible] a jednak musiał posiadać nieposl[illegible] wartość dla patrzącego, gdyż u[illegible]

szy obrazek z ramki, obwinął go starannie w papier, wsunął do skórzanej torebki, wiszącej na piersiach i dodał ze wzruszeniem:

— Ten krajobraz odmalowała według własnych wspomnień, a jestem pewny, że wiernie powtórzyła najmniejszy szczegół swego ojczystego gniazda! To mówiąc, raz jeszcze obejrzał się po pokoju, a potem wybiegł, zatrzaskując drzwi jedne za drugiemi i mówiąc:

— Nie, nie, dość już tego, muszę ztąd odejść; gdybym dłużej tu pozostał, chyba postradałbym zmysły!

Stanąwszy przed domem, odetchnął, wciągając chciwie balsamiczną woń powietrza. Wietrzyk obsypał go śnieżnemi kwiatami pomarańcz, które otrząsnął z siebie, wraz z kurzem uniesionym z noclegu. Skoczywszy na konia, podążył napowrót tą samą drogą, którą przebył poprzedniego wieczora. Za chwilę wiatr niósł od grobu słowa pieśni, pomięszane z szumem palm i dźwiękiem skrzypców:

Bądź pozdrowiona jasna Gwiazdo morza,
Boga-Rodzico! O święta Marya!

Przecudna pieśń, zaledwie rozpoczęta, umilkła nagle, gdyż artysta usłyszał tuż koło siebie tętent kopyt końskich i wołanie:

— Hej! hej! rodaku! a czy nie łaska powiedzieć, jakim sposobem wydostać się z tej pustyni.

Silvo zbliżywszy się do nieznajomych z grzecznością wykwintnego światowca, objaśnił ich o drodze jakiej wypadało się trzymać, i wzajem był zmuszony do wysłuchania pochwał gry swojej. Artysta przerwał:

— Zboczyliście panowie, co prawda, spory kawał od zwykłej drogi, ale o parę mil ztąd natrafilibyście i tak na małą osadę niemiecką, zkąd nie trudnoby wam było dostać się do ludnej kolonii św. Marty.

Rozmawiając znaleźli się prawie na-
...st opuszczonej siedziby. Jeden z nie-
...omych, młody człowiek, łagodnej
...ującej powierzchowności, wskazując
...m, rzekł:

— A więc to pan mieszkasz w tej pustelni?

Artysta uśmiechnął się. Na twarzy jego nie było już najmniejszego śladu wzruszenia, jakie nim miotało w ciągu kilku poprzedzających godzin. Odpowiedział z obojętnością:

— Maleńka ta osada jest bezludna, a dom zupełnie opuszczony: obrałem go sobie za nocną gospodę, ponieważ mimo całego wysilenia nie mogłem wczoraj po ciemku dojechać do najbliższej szagry. Wpośród dziewiczych lasów Brazylii i takie schronienie jest wielce pożądanem.

— Szagra ta więc jest bezludna i opuszczona; — odezwał się starszy nieznajomy, który był ważną osobistością w tamtych stronach, to jest geometrą czy inżynierem. Ktoby też tu, u Pana Boga, chciał się na dłuższy czas osiedlać!

— Kto lubi samotność — rzekł artysta, — ten mógł się tu dowoli nią nasycić. Miejscowość jest przecudna i gdyby najbliższa kolonia pociągnęła się nieco ku tej stronie, to posiadłość mogłaby nawet przedstawiać pewne korzyści. Tak też to sobie mniej więcej tłómaczył dawny posiadacz szagry. Znam ja nieco bliżej tego człowieka, byłem tu już bowiem raz przed kilku laty, wówczas gdy osada znajdowała się jeszcze w kwitnącym stanie. Teraz za to wygląda niezmiernie smutno, i oprócz pustek trudno w niej szukać czego innego.

— Po co też właściwie zmierzamy ku temu pustkowiu? — rzekł inżynier z lekkim odcieniem ironii. — Słuchajno Gerardzie! — dodał obracając się do swego towarzysza, czy nie lepiejby było napoić nasze konie u tamtego źródła, a skoro się cokolwiek orzeźwią i wypoczną, pojechać dalej? Przy łaskawych wskazówkach tego pana, który jak się zdaje dobrze jest oswojony z miejscowością, nie będzie to zbyt trudnem.

Ostatnie jego wyrazy były zwrócone znowu do artysty, który nie zwalniając jazdy, odpowiedział:

— Nie inaczej; ale pomimo to radziłbym panom odbyć małą siestę pod pomarańczowemi drzewami. Urocze to zacisze i jedyne do wypoczynku. Zresztą chociaż dom stoi pustkami, jednak będę się starał uraczyć panów zimną przekąską; wybierając się bowiem na czas dość długi w daleką podróż, zabrałem z sobą niektóre zapasy. Pozwolicie mi więc panowie, że wystąpię tu w roli gospodarza.

Cudzoziemcy z chęcią zgodzili się na tak uprzejme zaproszenie; twarz inżyniera rozjaśniła się zupełnie, podczas gdy wzrok Gerarda zwracał się ciągle ku skrzypcom, które Silvo niedbale trzymał w lewej ręce. Nakoniec nie mogąc powstrzymać dłużej ciekawości zapytał:

— A czy dawno pan już odbywasz tę wędrówkę?.... — tu zająknął się, nie wiedząc jakiemi słowy miał wyrazić to, o czem pragnął się dowiedzieć.

Ale Silvo zrozumiał go; z dziwnym uśmiechem, stanowiącym charakterystyczny rys jego twarzy, podniósł skrzypce do góry i odrzekł:

— Dziwi pana moja samotna podróż, zapewne z powodu tego instrumentu! — dodał wskazując na skrzypce; — ale to jest towarzystwo, które mię nigdy nie opuszcza, przewędrowało ono ze mną większą część kuli ziemskiej. Otóż i nasz zielony namiot; panowie! proszę z koni!

Za chwilę trzy konie pasły się na bujnej trawie niedaleko źródła, ich panowie zaś, wyciągnięci wygodnie pod cieniem drzew pomarańczowych, zajadali zimną przekąskę, do której gościnny portugalczyk dodał butelkę ognistego wina, mieszczącą się również pomiędzy jego zapasami.

Przy takiej zaimprowizowanej uczcie, rozmowa nie ustawała na chwilę. Głównym przedmiotem była otaczająca ich miejscowość.

— Dziwna rzecz doprawdy, — odezwał się podróżny, którego inżynier nazwał poprzednio Gerardem, — że to miejsce choć tak urocze, mimowolnie wywiera smutne wrażenie. Ten cudowny kawałek ziemi, pokryty przepyszną roślinnością, a wpośród niego opuszczona siedziba ludzka, przypomina raj utracony!

— Uwielbiam trafność pańskiego poglądu! — poświadczył napozór obojętnie artysta, chociaż oko jego nie przestało ścigać podróżnych, którzy zbliżyli się do domu. Drżał on w duszy, obawiając się ażeby stopa nieznajomego nie przekroczyła progu mieszczącego poza sobą przybytek tylu błogich i smutnych pamiątek. Ale obawa okazała się daremną, gdyż Gerard zaledwie otworzywszy drzwi wchodowe, cofnął się ze wstrętem przed nieprzyjemnem powietrzem, jakie na niego z wnętrza zawiało.

— A to dopiero prawdziwa ruina!

Artysta milczał; widząc iż cudzoziemiec nie myśli pójść dalej, odwrócił twarz w inną stronę. W tej chwili przerwał swoje milczenie następującą uwagą:

— Jeżeli łaska, to radziłbym panom wybierać się w dalszą podróż, ponieważ przed nastaniem zmroku mamy się dostać do najbliższej stacyi.

Wypoczęte wierzchowce zarżały wesoło, poczuwszy swoich panów na siodle. Bez dalszego namysłu puścili się przez las, pod przewodnictwem artysty.

Ku wielkiej radości tego ostatniego, samotny grób, ocieniony palmami, nie zwrócił na siebie uwagi żadnego z jego towarzyszy. On sam nawet zdawał się o nim zapominać, gdyż nie pożegnał go ani jednem spojrzeniem. Wkrótce przebrzmiał wśród głuchego lasu odgłos rozmowy i tętent kopyt końskich; na nowo głęboka, niczem nieprzerwana cisza zaległa całą okolicę.

* * *

Bez żadnego szczególniejszego wypadku nasi podróżni dostali się do kolonii św. Marty. Inżynier w tej kolonii otrzymał rządową posadę; młody zaś jego towarzysz, podróżujący dla własnej przyjemności, postanowił nie rozłączać się z przyjacielem.

W drodze don Silvo oświadczył, iż po to się udaje do kolonii św. Marty, aby wsiąść na parowiec, którym zamyśla popłynąć do Rio-Janeiro. Artysta nie miał wiele czasu do stracenia; jedyną trudność przedstawiało dla niego zbycie konia, którego miał zamiar sprzedać jakiemu koloniście. Ale Gerard, któremu to szlachetne zwierzę niezmiernie się spodobało, nabył je po niedługim targu, wraz z meksykańskiem siodłem i resztą przyborów. Obydwaj przyjaciele odprowadzili nowego znajomego aż na wybrzeże rzeki, gdzie już łodzie wysłane z parowca oczekiwały na podróżnych. Po serdecznem uściśnieniu ręki, nasi przyjaciele przyrzekli odwiedzić artystę w Rio-Janeiro. Portugalczyk wskoczył na mały statek, a majtkowie pochwycili za wiosła i łódź puściła się ku parowcowi. Silvo, z dumnie wyprostowaną postacią, spoglądał ku brzegowi, na którym długo jeszcze stali jego nowi znajomi, gwarząc pomiędzy sobą.

— Spojrz-no Franku! jak posągowo wygląda teraz nasz artysta; — odezwał się Gerard.

— Masz słuszność! — odparł inżynier, ścigając wzrokiem leciuchny parowiec, który mknął lotem strzały po wodnej przestrzeni. (Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄDY BOŻE.

OBRAZEK Z CZASÓW ŚREDNIOWIECZNYCH.

W dawniejszych czasach nie odbywały się sądy w osobnych na ten cel przeznaczonych gmachach, jak dziś. Sądownictwo nie było tak uregulowane, nie było obrońców. Oskarżony musiał się sam starać oczyścić. Duch czasu miał inne dowody winy, albo niewinności oskarzonego. Gdy oskarzony twierdził, że niewinny, brano go na tortury, kazano mu chodzić po rozpalonych węglach, albo pławiono go. Gdy wśród zadawanych mu katuszy zakończył życie, było to znakiem, że był winny. Nieraz katusze były gorsze od samej śmierci, dla tego niejeden, zwłaszcza wątlejszej natury, przyznawał się do winy, woląc śmierć ponieść, aniżeli zostać kaleką na całe życie. Sądy odbywały się zazwyczaj pod gołem niebem. W wiekach starożytnych odbywali sądy królowie i książęta, jeżdżąc po kraju i roztrząsając sprawy. W wiekach średnich obierano na ten urząd rozmaite osoby z klas uprzywilejowanych. Wielka ilość miast posiadała prawo miecza, a sędziami byli burmistrze i rajcy miejscy. Gdy sąd z takich osób złożony wydał wyrok, nie było apelacyi i do króla samego, a chociaż oskarzony prosił króla o ułaskawienie, to zwykle to ułaskawienie przychodziło za późno, bo poważne rady miejskie uważałyby się pokrzywdzone w swej powadze, gdyby miały słuchać rozkazów w tych sprawach od króla. Jeszcze w drugiej połowie zeszłego stulecia zdarzały się wypadki, że winowajcę stracono, nie czekając na ułaskawienie od króla. Gdy ułaskawienie nadeszło, winowajca oczywiście już nie żył.

Za czasów Karóla Wielkiego, któremu Ojciec święty włożył koronę cesarską na głowę, mianując go cesarzem świętego rzymskiego Kościoła, odbywały się sądy na publicznych miejscach. Przewodniczącym był hrabia, który to tytuł nie był wtedy jeszcze dziedzicznym, jeno dostawał się temu, który sobie na niego zasłużył. Taki hrabia był na wojnie dowódzcą, w pokoju zarządzcą części kraju, w sądzie przełożonym. Ławnikami byli tak nazwani wolni panowie, z których później porobili się baroni. Sądy takie miały wielkie znaczenie. To znaczenie jednak zaczęło upadać, gdy tytuł hrabiowski przechodził w dziedzictwie z ojca na syna, a urzędnicy

cesarscy stali się udzielnymi panami. Najdłużej jednak te sądy przechowały się w Westfalii w Niemczech. Zdarzało się jednak bardzo często, że winowajcy wcale na te sądy się nie stawiali, zwłaszcza wielcy panowie, rycerze, którzy pobudowali sobie ogromne zamki i na tych zamkach robili co chcieli. Zamki były tak obronne, dokoła otoczone fosami głębokiemi, że z wielkim trudem przychodziło je zdobywać. Właściciele ich, wiedząc o tem dobrze, rozpuszczali wodze namiętnościom wrodzonym, napadali na słabszych, rabowali, zabijali, napadali jak prości rozbójnicy na podróżne karawany, a następnie kryli się do swych zamków, gdzie, jak się rzekło, i sam książę nic zrobić im nie zdołał. Oczywiście, że zapozywano takich panków przed sądy, ale ci sobie z takowych po prostu drwili. Ażeby więc zachować powagę sądownictwa i powagę zwierzchności krajowej poczęli królowie i książęta tworzyć tajne sądy. Cesarz Karól IV wydał w roku 1371 tak nazwany wielki kodeks praw krajowych, w którym groził śmiercią każdemu, ktoby naruszył spokój w kraju. Ażeby jednak prawo nie pozostało prawem na papierze jedynie, lecz z skutkiem było wykonywane, dla tego pozwolił każdemu członkowi sądu ścigać winowajcę, zarzucać mu pętlicę na szyję i wieszać na najbliższem drzewie. Wskutek takiego prawa nie był winowajca nigdzie życia pewien. Każdej chwili i na miejscu, gdzie się tego najmniej spodziewał, zjawiał się członek sądu i uśmiercał go. Taki sposób kary rzucił ogólny postrach na wszystkich. Sądy zyskały ogromnie na znaczeniu, które sięgało nawet poza granice Niemiec. Zabójstwa, morderstwa, napady, podpalania, kradzieże, rozpusta ogromnie się zmniejszały, bo winowajca mógł być pewien, że i bez sądu każdej chwili dosięgnąć go może sprawiedliwość. Na krzywdzony lud zwłaszcza wywierały sądy tajemniczy urok i powoli nazwano sądy takie sądami Bożemi. Opowiadano sobie o tych sądach niestworzone rzeczy. I tak, że odbywają się w ponurych domach, w podziemiach, w nocy. Twarze sędziów surowe, tajemnicze, nieubłagane. Wzrok ich przejmujący. Twarze zasłonięte mają maskami. Z ciemnej, wilgotnej kaźni sprowadzają winowajcę, który wygłodzony, wycieńczony na siłach, zaledwie powstać zdolen. Brutalne pięści zmuszają go jednak do powstania, wloką do obitego czarnym suknem stołu, na którym leży miecz i pętlica. Rozlega się nagle ponury głos sędziego, który zaklina więźnia w imię Boga i sumienia własnego do przyznania się do winy. Występuje oskarzyciel; nieszczęśliwa ofiara nie może się zapierać, inaczej poddają ją niewysłowionym katuszom. Milczy zatem, czuje, że jest ofiarą sądów Bożych i za kilka minut z zarzuconą na szyję pętlicą kończy życie na najbliższem drzewie. Taki obraz sądów Bożych stworzył sobie nieoświecony lud, tymczasem rzeczywistość przedstawia się inaczej. Posiedzenia sądowe odbywały się jawnie, w jasny dzień na otwartem polu w obecności ławników, w pobliżu miasta albo wsi, pod drzewem, krzakiem bzu lub tarni. Przewodniczącym mógł zostać każdy chłop westfalski. Przed nim na stole leżał miecz i pętlica, uwita z wycin. Po obu jego stronach zajęli miejsca ławnicy. Każdy z nich, gdy go zaprzysiężono, musiał ślubować, że świętych sądów Bożych będzie bronił przed żoną i dzieckiem, ojcem i matką, siostrą i bratem. Nie zlęknie się ani ognia i powietrza. Występować będzie odważnie w obec wszystkiego, co słońce oświeca, co deszcz skrapia, w obec wszystkiego, co się znajduje między niebem a ziemią. Ławnicy porozumiewali się ze sobą po haśle. Witali się słowami: »Witam Was, miły człowieku! Cóż tu porabiacie?« na co zagadnięty odpowiadał: »Niech szczęście zawita tam, gdzie się pokaże ławnik«. Ławnicy zobowiązywali się, że nikomu tajemnicy nie będą zdradzali. Za zdradę czekała go straszna kara. Nazywało się, że zdrajcy winni towarzysze związać ręce na przodzie, zawiązać oczy chustką, zarzucić na szyję potrójną pętlicę i po-



PSOTNICY SZKÓLNI. (Obacz objaśnienia rycin na str. 112).

wiesić go na drzewie siedem razy wyżej, jak złodzieja, skazanego na śmierć. Powaga i znaczenie ławników wzmogło się ogromnie. O ten zaszczyt poczęli się nawet ubiegać miasta, królowie i cesarzowie. W 15-tem stuleciu wynosiła liczba ławników 100 tysięcy. Gdy w roku 1434 sądzono księcia Henryka Bogatego z Bawaryi, natenczas zgromadziło się 18 przewodniczących sądów Bożych i 800 ławników. Każdy bowiem ławnik mógł brać udział w posiedzeniach sądów, gdy takowe były tajne. Przy jawnych posiedzeniach mógł każdy, nie będąc nawet ławnikiem, uczestniczyć.

Sądy Boże ogłaszały wyrok dopiero, gdy kto skargę wytoczył. Oskarżycielem musiał być jeden z ławników. Gdy jego brakowało, natenczas oskarzony był wolny. Gdy się zaś stawił, natenczas badano sprawę, czy takowa należała w obręb sądów Bożych. Do tych zaś zaliczały się wszelkie sprawy, które podług praw wieków średnich karano śmiercią, a więc kacerstwo, ograbienie kościoła, podpalenie, kradzieże, rozpusta i t. d. Kleryków, kobiety, dzieci, żydów i pogan nie zapozywano przed sąd. Do oskarzonego wystósowywano piśmienny zapozew, na którym przewodniczący kładł swą pieczęć. Zapozew zanosił obwinionemu woźny. Gdy nie wiedziano miejsca zamieszkania obwinionego lub gdy było niebezpieczeństwo dla woźnego, natenczas wypisywano zapozew w czterech miejscach kraju na drogach krzyżowych i do każdego z nich dodawano monetę królewską. Dla mieszkańca miasta przybijano takowy na bramie miasta. Gdy chodziło o mieszkańca zamku, natenczas przymocowywano zapozew na bramie zamku i woźny przynosił sądowi trzy wiory na znak, że zlecenie załatwił. Po trzeciem zawezwaniu pozostawiono winowajcy jeszcze dwa tygodnie czasu. Następnie wytaczał ławnik skargę, przyczem klęcząc, musiał składać przysięgę, że sprawa czysta i nie osobista. Wyrok wydano piśmiennie. Gdzie ławnik mógł zdybać dwóch towarzyszy, tam w trójkę wieszali skazańca. Po wymiarze sprawiedliwości wbijano w drzewo nóż na znak, że powieszony jest ofiarą sądów Bożych. Gdy winowajca przyznał się natychmiast do winy, wtedy wiązano go natychmiast i wieszano. Gdy zaprzeczał winę, natenczas niewinność musiał udowodnić. Ławnik nie mógł kłamać, gdy oskarżenie poparł przysięgą. Gdy zaś dostawił jeszcze dwóch świadków, których można było zaprzysiądz, natenczas służyło obwinionemu prawo oczyścić się z winy przez dostawienie sześciu świadków. Gdy oskarzyciel stawił trzynastu świadków, musiał ich oskarzony dostawić dwudziestu. Ci musieli się zaliczać do ławników i przysięgać, że oskarzony jest niewinny. Nie potrzebowali oni wcale wiedzieć, za co oskarzony staje na sądzie, wystarczyło, gdy zaprzysięgli uczciwość jego. Gdy się temu wszystkiemu stało zadość, natenczas oskarzony bywał puszczany na wolność. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko, albowiem oskarzyciel robił co mógł, ażeby udowodnić czystość swego oskarzenia. Mieli ławnicy jeszcze inne, wielkie przywileje. Kogo naprzykład schwytali na gorącym uczynku, lub kto nosił przy sobie narzędzia, które go o udział w nieczystej sprawie podejrzywały, tego mógł każdy ławnik bez wszystkiego chwytać i wieszać.

Te i inne przywileje doprowadziły w końcu do okrutnej samowoli, tak że nietylko obywatele, ale i królowie i cesarzowie drzeli przed sądami Bożymi. Zdarzało się nawet, że i cesarza przed sąd swój pozywały. Powoli stały się one dla społeczeństwa biczem Bożym, tak, że królowie wszelkiemi siłami starali się, ażeby je poznosić. Powoli też zaczął wpływ sądów upadać a w r. 1582 wykonano ostatni wyrok śmierci. Mimo to istnieć nie przestały. Zajmowały się jeszcze w długie lata drobniejszemi sprawami sądowemi, dopóki francuzka rewolucya i tych resztek dawniejszej potęgi sądów Bożych nie zdmuchła. W r. 1805 odbyło się ostatnie posiedzenie dawniejszych potężnych sądów Bożych.

DO TAŃCA I RÓŻAŃCA.

Lato, święta niedziela —
O słonecznym zachodzie,
Przy gościńcu w gospodzie
Grzmi wioskowa kapela:
Skrzypki, dzwonki, bębenki
I wesołe piosenki!
Izba jakby stodoła,
A posadzka z klepiska;
Tu gawędka wesoła,
Kuma z kumą się ściska,
Kum do kuma przepija —
Rżnie kapela od ucha.
Kasia dziarska dziewucha,
Obertasa wywija;
Na szerokie ramiona
Opuściła warkocze,
A wstążeczka czerwona
Po powietrzu furkocze.
Coraz chłopiec poskoczy,
Znany, czy tam nieznany,
Tupnie, spojrzy jej w oczy,
W pół pochwyci — i w tany!

Ona rada widocznie,
Już to widać z uśmiechu,
Ani chwili nie spocznie,
Aż jej braknie oddechu.
Choć bez srebra, bez złota,
Choć z manierą prostaczą,
Żwawo idzie ochota —
Młode serca aż skaczą!
Chłopcom, zamiast lakierków,
But z podkówką juchtowy;
Dziewkom, zamiast cukierków,
Chleb powszedni razowy.
Cóż się dziwić dziewczynie?
Dziś godzina szczęśliwa,
Ale ona przeminie,
Jutro rano do żniwa!

Północ — pieją koguty,
A bodajże ich licho!
Ot i koniec reduty —
I w gospodzie już cicho.
Poleciwszy się Bogu
Modlitewką, westchnieniem,
Kasia padła przy stogu
I zasnęła kamieniem.
Śpij dziewczyno! oj zmudnie
Pójdzie jutro w robocie;
Po dzisiejszej ochocie
Prześpisz pewno południe.

Nie przespała, — ze świtem
Kasia ze snu się zrywa,
Niwa srebrzy się żytem,
Ona spieszy do żniwa.
Polny kwiatek na czole,
A w koralach jej szyja,
Z sierpem krzywym w półkole —
Po zagonach się zwija.
Po wieśniaczym obiedzie,
Znów gorliwi żniwiacy
Powracają do pracy,
Kasia zawsze na przedzie;
Potem zlane jej czoło,
Nie spoczywa jej ręka,
A żniwiarska piosenka
Płynie z piersi wesoło.

Ot, już słońce zachodzi;
Z wieńcem kłosów na skroni,
Z krzywym sierpem we dłoni
Kasia piosnkę zawodzi.
Znów przy blasku łuczywa
Stają pary do tańca...
Oto co się nazywa —
Do tańca i do różańca!

ZA MATULĄ.

(Dokończenie.)

Matus nie odpowiedział nic, tylko nachmurzył jeszcze bardziej siwe brwi, nasunął głębiej czapkę i pognał woły.

Sanie zaskrzypiały po skorupie śnieżnej.

Dzieci szły potykając się co chwila.

Ogromne buty z początku wielce bawiły Pietrka, rozbijał niemi z zadowoleniem stwardniałą skorupę śnieżną i podrzucał śnieg do góry.

Jagusia szła w milczeniu, kiedy-niekiedy ciężko wzdychając. Droga szła przez pola... Matus brnął po śniegu napędzając woły i spoglądał czasami na dzieci.

Niebo zaciągało się szaremi chmu-

rami, ostatnie promienie słońca krwawo zabarwiały zachodnią stronę nieba.

Była zaledwie trzecia godzina a zaczynało się szybko ściemniać.

Ujechali dopiero połowę drogi.

I dla tego chcąc pospieszyć, zachęcał woły z nawoływaniem:

— A no... siwuchy... akse!.. a nuże!

Woły niezbyt wszakże ochoczo stąpały po głębokim śniegu. Na dobitkę



Matka najlepszą przyjaciółką. (Obacz objaśnienia rycin na str. 112.)

Matus spoglądał co chwila z pewnym niepokojem do góry i na zachodzące słońce.

— Źle! — mruknął do siebie — przed nocką nie zdąży się...

śnieg zaczął padać i zerwał się wiatr zachodni, napędzając coraz nowe chmury.

Pietrek w swoich ogromnych butach zmęczył się bardzo i zaczął płakać nie mogąc zdążyć za saniami.

Jaguś, zmęczona również, zdawała się na to nie zważać i szła wytrwale.

Pietrek wreszcie ustał zupełnie a potknąwszy się upadł twarzą w śnieg i rzewnie zapłakał.

Matus podniósł go i aby uspokoić posadził na sanie, tuż przy trumnie, a wyjąwszy z zanadrza kawał chleba, rozłamał go na dwie części i dał jednę Pietrkowi i Jagusi.

Pietrek zaczął chciwie gryźć na wpół zmarznięty chleb i uspokoił się zupełnie. Biedactwo od rana nic w ustach nie miało...

Jagusia swój chleb zawinęła w fartuch i szła dalej.

Tymczasem śnieg zaczął padać coraz gęściej...

Matus co chwila niespokojnie oglądał się wkoło... już się ściemniało a krzyży cmentarnych jeszcze nie było widać.

Zresztą i dojrzeć by ich nie mógł poza tumanem śnieżnym, który pod wpływem wiatru zamieniał się w zadymkę.

Sanie posuwały się coraz wolniej, woły stawały w zaspach śnieżnych, które tworzyły się w jednej chwili.

Śnieg padał coraz większy... sanie, trumna, Pietrek do niej przytulony, wszystko pokryło się białym całunem...

Drogi niepodobna było rozpoznać, woły musiały z niej zboczyć, gdyż uwięzły nagle w ogromnej zaspie.

Próżne były wysiłki Matusa aby je ruszyć z miejsca, mordował się, rozkopywał rękoma śnieg, szukając śladów. Była to wszakże praca zmarnowana: co oczyścił, to w jednej chwili śnieg zasypywał na nowo.

Stary zatrwożył się. Widząc, że sam nie da rady, zdecydował się wezwać pomocy ludzi.

Niedalej jak o wiorstę na prawo leżała wieś... trzeba się było do niej dostać koniecznie.

Wahał się wszakże, gdyż chodziło mu o sieroty. Jakże je same zostawić w polu na śnieżycy... nie miał wszakże nic innego do wyboru.

Matus zwrócił się do dziewczyny:

— Jaguś, ty zostaniesz z Pietrkiem na saniach a ja pójdę do wsi...

— A no... ta i zostanę...

— A nie boisz się?

— Toć tu i matula...

— No to zostań z Bogiem! — powiedział Matus i skierował się na prawo.

Dzieci patrzyły za nim, dopóki śnieżyca nie zakryła go przed ich wzrokiem. Gdy znikł im z oczu, strach jakiś ogarnął Jagusię... Smutno jej się zrobiło bardzo... usiadła przy Pietrku i narzuciwszy na głowę swój gruby fartuch, siedziała cichutko...

Po upływie kilku minut wzięła do ręki chleb, ugryzła kawałek lecz jeść nie mogła.

Coś ją dławiło w gardle...

Pietrek, ubrany w lichą sukmankę, zaczął narzekać na zimno.

Jaguś przytuliła go do siebie, okryła fartuchem i chustką zdjętą z głowy.

Chłopak, rozgrzawszy się cokolwiek, zaczął w objęciach Jagusi drzemać. Ta siedziała nieruchomo; czuła, że nogi wystawione na mroźny wiatr sztywnieją, nie poruszyła się wszakże, aby nie zbudzić Pietrka.

Nagle zdjął ją strach wielki... zlękła się ponurej samotności i ciszy, przerywanej głuchym szumem wiatru. Objęła mocniej Pietrka i przytuliła się z całych sił do trumny, jakby szukając przy zimnych zwłokach matuli opieki przed trwogą.

A śnieg wciąż padał i padał... Nie można już było rozpoznać ani sani, ani wołów, ani trumny z przytulonemi do niej dziećmi. Wszystko to tworzyło jeden śnieżny pagórek.

— Pietrek!... a Pietrek! — zawołała Jagusia chcąc przerwać tę złowrogą dla niej ciszę.

Pietrek wszakże musiał spać mocno, bo nie odezwał się na wołanie siostry.

Dobywając resztek sił, wstrząsła nim mocno i podniosła mu głowę do góry, chcąc go obudzić. Ten wszakże chwiał się tylko w jej rękach i wymawiał szeptem jakieś słowa bez związku.

A Matus nie powracał.

Grobowa cisza, przerywana tylko szumem wiatru, panowała w około.

— Matulu... matulu... maa... tu... lu!... — dało się słyszeć parę razy żałosne wołanie Jagusi.

Potem... wszystko ucichło.

. . . .

Dopiero po upływie kilku godzin Matus z ludźmi zdołał dotrzeć do śnieżnego pagórka...

Było już zapóźno... dzieci poszły za matulą.

WĘGRY.

(Ciąg dalszy.)

Węgrzy zowią owe stada bydła »gulya« a dozórców ich »gulyasami.« Ci pasterze zimą zbliżają się do lasu, do wsi, lub przynajmniej do pojedyńczych osad zwanych »zearda«, a bydło zimuje w ogrodzonych, lecz niepokrytych okólnikach. Budy gulyasów, które im służą na schronienie nocą lub podczas ciężkiego mrozu, uplecione są z trzciny w kształcie ostrosłupa. Ci ludzie, pomimo tak twardego życia, zdrowi są, silni i barczyści. Głównem ich pożywieniem jest »gulyas-hus«, pokarm narodowy: jest to mięso wołowe, pokrajane w drobne kawałki, przyprawione ostro cebulą i papryką, czyli pieprzem tureckim. Tę potrawę częstokroć widzieć można i na pańskich stołach. Bydło przywykło do stepowej ciszy, zna jedynie gulyasów i tylko im samym pozwala przystąpić do siebie. Na widok obcego płoszy się i ucieka: wtedy gulyasy przy pomocy białych psów z krętym włosem, rozbiegają się wkoło i z trudnością przywracają gromadę do porządku.

Hodowla owiec nader korzystna w Węgrzech, stanowi jednę z najważniejszych gałęzi gospodarstwa. To też właściciele rozległych dóbr chowają trzody składające się z 15 do 20,000 owiec. Pasterze tych trzód, »juchasy, bojtary,« mają z natury spokojniejsze i łagodniejsze obyczaje od innych pasterzy; niemało przyczynia się do tego łagodna natura zwierząt nad któremi mają opiekę. Odzież ich podobna do odzieży gulyasów; główną ich rozrywkę stanowi fajka, nieodstępna towarzyszka i długie powieści o wielkich wojownikach narodowych, lub też o słynnych rozbójnikach, które sobie nawzajem rozpowiadają. Śpiewają także odwieczne pieśni pasterskie, pełne samodzielnej prostoty; naprzykład:

Nasze tłuste trzody pasą się na łące,
Skubią żwawo trawę i zioła kwitnące.

Gdybym okiem przebił te cieniste lasy,
Widziałbym twe lica, pełne świeżej krasy.

Ziemio moja, co się stało tobie,
Żeś z dawnej twej sławy odarta w tej dobie!

Oj serce mi kraje widok twej niedoli,
I z boleścią w duszy, wiodę pług po roli.

Żyjąc pośród samotnych stepów, w obec nieba i gwiazd, owi pasterze mają praktyczną znajomość astronomii, to też w każdej chwili wiedzą która godzina, znają dokładnie bieg gwiazd, położenie konstellacyi, a nawet odgadują na pewno zmiany powietrza.

Życie rozmyślające usposabia ich do melancholii i dumania: rysy ich nawet mają wyraz poważny i zamyślony.

W Węgrzech wiele jest lasów dębowych, ztąd karmienie wieprzy stanowi niepośledni rodzaj przemysłu narodowego. Pastuchy trzód chlewnych, »kanasze«, prowadzą życie rozrzucone; nieopuszczają nigdy lasów i różnią się od innych pasterzy ostrzejszem i dzikszem usposobieniem. Odosobnieni od świata, od życia osiadłego i praw, są oni rzec można, barbarzyńcami jeszcze; koczując po rozległej puszczy i nic stałego nie posiadając, mają ztąd dzikie pojęcia, zupełnie niezgodne z porządkiem społecześnkim; ani swojego ani cudzego nie szanują. Wielu też z nich, mianowicie w lesie Bakony, zajmuje się rozbojem; ale to jednak mają dobrego, że nigdy

ubogiego nie pokrzywdzą; przeciwnie czasem i wspomagają żebraków, albo wędrujących czeladników. W ogólności kanasz bywa gościnny i spotkawszy biedaka, zaprasza go zwykle na nocleg do swojej budy i częstuje hojnie wieprzowiną.

Jedyną bronią kanasza jest toporek »czekan« osadzony na kiju. Używają go zarówno do rąbania drew i zagania nia trzody. Spotkawszy się w boru, bawią się, rzucając ów toporek do oznaczonej mety, niekiedy o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków. Skutkiem częstego ćwiczenia, takiej w końcu nabierają wprawy, że niepoprzestając na drzewach i zwierzętach, godzą nieraz jedni w drugich. W każdej też gorętszej sprzeczce, czekan bywa w robocie. Wtedy oddalają się od siebie dla lepszego zamachu i rzucają nawzajem broń morderczą. Ów toporek jest także główną ich ozdobą: kiedy tańcują przy dźwięku kobzy, poruszają nim ze zręcznością i swojego rodzaju wdziękiem, co też tańcowi oryginalny charakter nadaje.

Pasterze trudniący się hodowaniem stadnin końskich na stepach, odznaczają się szczególniej silną i barczystą postawą. Przez cały rok nie mają prawie żadnych związków z mieszkańcami wiejskimi. Gospoda na stepie (czarda) jedynym jest miejscem wspólnego ich zebrania. Tam w każdą Niedzielę oddają się żwawym pląsom lub słuchają gędźby kobziarzy. Twarz ich ogorzała od słońca i stepowego wiatru, odznacza się pięknemi rysami i wyrazem znamionującym siłę.

Przyzwyczajeni do życia na pół dzikiego, wystawieni na zmiany powietrza, nadzwyczaj są krzepcy i zwinni, a co więcej, żadnym prawie nie ulegają kalectwom. W skutek niepodległego życia, są nadzwyczaj szorstcy w obejściu, dumni i pogardliwi; uczucie osobistej wartości wyryte jest silnie na ich obliczu, a wszelki inny stan i zatrudnienie wydaje się podrzędnem w ich oczach. To też na jarmarku lub targu odrazu poznać czikosa po głowie podniesionej w górę, po sumiastym wąsie i po wejrzeniu pogardliwem. Postać jego dumniejsza jeszcze, kiedy dosiędzie konia. Jego strój świąteczny nader piękny i malowniczy: na głowie ma kapelusz z szerokiem skrzydłem, przybrany wstążkami i wiązką sztucznych kwiatów; długie spodnie, z frendzlą u brzegu, spadają mu na buty z ostrogami; haftowany dołman, świecący od guzików, zarzucany na ramię i koszula biała, haftowana, z szerokiemi rękawami, dopełniają tego pięknego stroju, tak odpowiedniego znaczącym rysom twarzy i kształtnej budowie ciała. Nosi zawsze przy sobie, nawet jadąc konno, mały toporek, tę nieodstępną broń wszystkich pasterzy węgierskich i bat, z krótką rękojeścią, a nadzwyczaj długiem biczyskiem.

Czikosy niesłychanie są odważni w swym zawodzie, który ich naraża na wiele niebezpieczeństw i trudów. Ujeżdżają oni dzikie konie stepowe i dają w tem dowód wielkiej zręczności i zimnej krwi godnej podziwienia. Gdy chcą ująć konia, zbliżają się znienacka do niego i stanąwszy o dwa kroki, skaczą mu na grzbiet; a choć bez siodła, ani uzdy, umieją się jednak utrzymać, mimo że koń unosi ich i czasami przez kilka godzin, pędząc rozhukany, dopóki nie upadnie od znużenia. Wtedy dopiero czikosy zsiadają z konia, biorą go za grzywę i zakładają mu uzdę: odtąd całkiem go ujarzmili. Nieraz w ciągu tej czynności czikos nie wypuszcza fajki z ust, i zdaje się zupełnie obojętny wśród szalonych podrzutów konia. Rzadko kiedy spotyka ich nieszczęście, są bowiem równie zręczni, jak odważni. Znają przytem wybornie naturę konia i wiedzą, jak się z którym obchodzić. Są oni w ogólności wybornymi jeźdźcami. Nie dziw też, iż na wyścigach konnych w Węgrzech wyprzedzają najlepszych żokejów angielskich; podziwiają ich także na równinie Bukos i na jarmarku w Peszcie, kiedy dla popisania się z końmi, które prowadzą na sprzedaż, przejeżdżają się we wszystkich kierunkach wśród trzydziestu tysięcy ludzi. Układają konie przewybornie do wierzchu. Raz gdy zarzucono czikosowi, iż

koń jego nie umie zawrócić dobrze w miejscu, obrażony pokręcił wąsa, spiął wierzchowca ostrogą i wykręcił młynka po trzykroć jednym zamachem. Czikos umie wykazać zalety konia, a ukryć jego wady; umie nawet zmienić dowolnie maść, czego się nieraz dopuszcza, dla ukrycia kradzieży. Pieśni czikosów rozlegające się po stepie lub w czardach, mają zwykle za przedmiot konia albo szklenicę.

Czikosy zaciągnięci do wojska stanowią wyborową jazdę. Wzrost średni, kształty ciała udatne, rysy pełne siły i wyrazu, nadzwyczajna zręczność w poruszeniach, wszystko to, przy wymusztrowaniu składa się na doskonałego kawalerzystę, Z natury burzliwi i zawadyacy, ale pełni odwagi i miłości kraju, stanowią też czikosy czoło armii węgierskiej. Na pierwsze hasło wojenne opuszczają stepy i stada, i biegną pod chorągiew narodową. W ostatniej wojnie z Austryą składali oddzielny korpus, uzbrojony w arkany, których zwykle używają do chwytania dzikich koni na stepie. Wprawni do władania tą bronią, nieraz ciężką zadali klęskę nieprzyjacielskim szeregom. (Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Psotnicy szkólni. Wiek młody, wiek swobody! Umysł nie zaznał jeszcze żadnych przykrości w życiu, nie zna jeszcze całej powagi życia, nie nauczył się borykać z przeciwnościami życia, wolny i swobodny się czuje, jak ptaszek, wyśpiewujący hymn Bogu na podziękowanie za wszystko, co uczynił i czyni wciąż jeszcze dla istót, które stworzył. Widzimy na obrazku dwóch smyków szkólnych. Przyroda rozradowała ich znowu, bo po ponurej, monotonnej jesieni nastała mroźna zima. Wywiera ona szczególnie zaś na młodzież niezwykły urok. Ileż to uciechy, gdy pierwsze płatki śniegu pokryją ziemię białym całunem. Jakie to figlarne pomysły zaprzątają główki młodzieży. Jak ona wyśpiewuje, wykrzykuje z radości, że będzie mogła wyrządzić psotę komukolwiek, jak ona snuje plany na dzień następny. Otóż ci dwaj psotnicy uwzięli się na starego swego nauczyciela, który widocznie nie potrafił otoczyć się w obec nich należytą powagą. Potężnemi kulami śniegu bombardowali do okna szkoły pana nauczyciela. Pragną się nasycić gniewnym widokiem kierownika młodości swej. Wiedzieli bardzo dobrze, że skutek z bombardowania będzie, dla tego zawczasu pokryli się, śmiejąc się tym serdecznym a szczerym śmiechem, którym śmiać się może jedynie niezepsuta młodość. Nauczyciel ani się domyśla, że psotników ma w tak bezpośredniem pobliżu. Kara jednak prędzej czy później zapewnie nastąpi, bo samowolni chłopcy będą próbowali tak długo szczęścia, dopóki zmyślny nauczyciel nie schwyci ich na gorącym uczynku i w dotkliwy sposób nie da im uczuć, że z starszych osób żartować sobie nie należy.

Matka najlepszą przyjaciółką. Stara, utarta to prawda! Przysłowie powiada, że człowiek na świecie ma co najwięcej jednego prawdziwego przyjaciela. Przyjacielem może się nazywać jedynie ten, który tak w dobrej, jak złej doli jest wiernym, który współczuje z towarzyszem we wszelkich chwilach jego życia. A czyż może być lepszy przyjaciel, jak matka, jak ojciec? Toć matka miłość macierzyńską przelewa w serce, ona żyje życiem dziecka swego, ona z pieczołowitością i troskliwością największą podlewa ten kwiatek młodociany, ażeby wyrósł bujnie, stał się pociechą jej i wywdzięczył się później za te trudy, dla niego ponoszone, ona zaszczepia w to młode serduszko wszelkie cnoty, jakie są jej własnością, zaszczepia je zaś całą siłą swego serca macierzyńskiego. Co płynie z serca, to też wstępuje do serca. Dziecko, gdy wyrośnie kochać będzie matkę swą po Bogu najwięcej, bo będzie wiedziało, że to ona starała się jako jego najwierniejsza przyjaciółka wychować je na porządnego człowieka, upatrywać będzie w niej przyjaciela swego, który, rzec można, jedyny zdolen zrozumieć je należycie, bo ona weń myśli i uczucia swe przelała. Te i tym podobne myśli nasuwają się wpatrującemu się w nasz obrazek. Widzimy córkę w objęciach matki, wynurzającą w łkaniu serdecznem żale i bóle, których doznała wśród obcych. Jedyna matka zdolną jest pojąć boleść córki, dla tego też ta z całą ufnością otwiera przed nią swe zbolałe serce i szuka na sercu jej ukojenia. Jedynie matka, która wychowała córkę, zdolna zrozumieć, co jej brakuje i należyte przepisać lekarstwo. Chociaż wszyscy człowieka opuszczą, chociaż grom za gromem w niego uderza, nie zginie, jeśli matka należycie młodością jego pokierowała i dała jej opokę, o którą wszystkie pokusy złego świata się rozbijają. Miłość ku matce za poniesione trudy będzie dla tej ostatniej błogosławieństwem niebios, a ta miłość trwać będzie i po za jej grób.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

DZIADEK.

Wszystkie wieśniaczki wybiegły na ulicę i pogardliwie przypatrywały się kobiecie bladej, wynędzniałej, ubranej prawie w łachmany, która niepewnym krokiem, wpatrzona w ziemię, szła pod ogniem spojrzeń, szeptów i wymysłów brutalnych; — szła trzymając za rękę dziewczynkę wesoło uśmiechniętą, podskakującą, choć także bladziutką i łachmankiem odzianą.

A nietylko wieśniaczki obrzucały przechodzącą wzgardliwem spojrzeniem i słowami, nawet dzieci wiejskie, zamorusane, bose, podbiegały do idących i biczykami, ze szpagatu i rózgi, podcinały dziewczynkę, która śmiała się do nich, myśląc, że to tylko żarty.

Nawet psy czaiły się do ubogo ubranej kobiety a obwąchawszy jej łachmany, odchodziły, poszczekując lub wyszczerzając zęby.

I mężczyzni, wracający pod tę porę z pola od pługa, przystawali, głośno wołając:

— Patrz! patrz! to Kasia.

— Piękna Kasia! przywtarzali parobczaki i śmiali się na całe gardło, jakby z jakiego wybornego konceptu.

Słońce zachodzące purpurą okoliło niebo, wietrzyk, co muskał lilie w ogródkach wiejskich i ślicznie kwitnące jabłonie, napełnił powietrze wiosennym aromatem.

Wszystko pragnęło się radować, bawić, żartować — ona tylko jedna, Kasia, ani uśmiechnąć się ani przemówić słowa nie mogła. Kasia miała zaledwie lat dwadzieścia a wyglądała teraz na daleko starszą; — jej bladość, włosy w nieładzie spadające na ramiona, nędzna na twarzy i w ubraniu, wreszcie wstyd a może i hańba, nie pozwalały podnieść głowy, spojrzeć śmiało w oczy i bronić się przed napaścią ludzi i zwierząt.

Córeczka, mały cherubinek, nie czuła niedoli matki, nie umiała podzielać jej cierpień; — oczki błyszczały jej figlarnie, włoski trzepotały się na niespokojnej główce; — trzymała się sukni matki ale spoglądała ciągle poza siebie, śmiejąc się do dzieciaków, co z biczykami biegły za niemi. Dziecina była wesoła jak niebo, zarumieniona jak kwiat jabłoni — śliczna jak wiosną ustrojona wioska.

Kobieta przeszedłszy wieś całą, zatrzymała się przed chatą, na końcu ulicy.

Jakby chroniąc się przed napaścią, rozpaczliwie przypadła do drzwi i zaczęła silnie do nich kołatać.

Córeczka widząc, że matka zajęta, puściła jej suknię i podeszła nieco ku dzieciakom. Mali napastnicy najprzód się cofnęli, lecz wkrótce, zwabieni uśmiechem, trzepotaniem rączek i szczebiotem, przystanęli, a potem złączywszy się z nieznajomą towarzyszką, rozpoczęli wspólną zabawę.

Kobieta coraz silniej, coraz rozpaczliwiej do drzwi kołatała.

Nareszcie zasuwa skrzypnęła, drzwi się uchyliły a na progu stanął siwowłosy starzec.

— Kto tam? — zapytał głosem drżącym, gasnącym. Lecz zanim odebrał odpowiedź, cofnął się i zawołał, wyciągając ręce przed siebie, jakby kobietę chciał od drzwi odepchnąć:

— To ty!.. Czego chcesz odemnie? Potem wybuchnął namiętnym gniewem i trzęsąc się cały i wygrażając pięściami wołał:

— Idź precz! precz!... tyś nie moja!

Nieszczęśliwa oparła się o ścianę domostwa, aby nie upaść.

Ale i to nie uśmierzyło gniewu starca. Ciągle, tylko coraz słabszym głosem wykrzykiwał:

— Idź precz ztąd żebraczko! włóczęgo... Idź, nie brudź mego domu!

— Ojcze! — jęknęła kobieta.

— Precz! precz! nie znam ciebie! tyś nie moja! — powtarzał i chciał zamknąć drzwi.

Lecz nieszczęśliwa, rozpaczą zdjęta, ze zwierzącą jakąś napaścią rzuciła się do wnętrza chaty i zanim starzec zdołał spuścić zasuwę, stała już przy stole, trzymając się go oburącz, niby ostatniego ratunku.

Kobieta nie odzywała się ani słowa, gdy starzec obrzucał ją złorzeczeniem; — stała złamana, z głową bezwładnie zwieszoną, z ócz płynęły łzy, z piersi wydobywały się głuche westchnienia; — gotową była upaść i umrzeć ale ustąpić z pod dachu ojcowskiego nie miała odwagi.

Starca ani postać złamana, ani westchnienia ani łzy dziecka nie wzruszyły. Mówił on z przestankami, usiadłszy na stołku, bo osłabiony nagle nie potrafił się utrzymać na nogach.

— Ojcze... ja twoim ojcem! Ta żebraczka jest moją córką... ha! ha! piękna córka! piękne dziecko!... Tak, ja miałem dziecko — miałem córkę, którą nieboszczka żona moja kochała jak świętość, czciła jak największą łaskę Boga... Było to dziecko dobre i piękne — oddalibyśmy oboje za nią swe życie... Od rana do nocy pracowaliśmy koło domu i w roli, aby tylko jak najwięcej uzbierać dla naszego aniołka... Jak tylko przyszedł czas, odebraliśmy ją ze szkółki elementarnej i oddali na pensyą, aby się jak najwięcej nauczyła... Chcieliśmy, żeby była piękną i mądrą, najpiękniejszą i najmądrzejszą ze wszystkich jej rówienniczek; — nie żałowaliśmy ani sił, ani zdrowia — nie było dla nas pracy, jakiejbyśmy się z rozkoszą dla niej nie podjęli... Gdy już wyrosła, gdy się wykształciła, odmawialiśmy sobie posiłku, choć nieraz jeść się chciało, aby tylko

uzbierać dla niej posag; — myśleliśmy, że będzie żoną człowieka uczciwego, którego my jej wybierzemy...

A ona... ona pokochała nikczemnika — uciekła z nim i pozwoliła żeby wszyscy sąsiedzi, cała wieś naśmiewała się z ojca, z matki i z tego, co jej tak wierzył, co jej swą miłość przysięgał!

Tu starzec zmęczony zamilkł, oczy przymknął i piersią strasznie dyszał. Córka zanosiła się od płaczu; — ponure milczenie starca, i płacz pokutującej przerywały rozkoszne śmiechy dziatwy, bawiącej się przed drzwiami na ulicy.

Starzec powoli odzyskiwał siły, i jakby marząc, zaczął mówić powoli, bez uniesienia, bez krzyku:

— Zaziębiła się matka i wyschła... A jak nie miała się zaziębić, jak nie miała wyschnąć, kiedy czy śnieg, czy ulewa, czy wicher, czy dzień czy noc wyczekiwała przed domem, włóczyła się po drogach, wszędzie rozpytując o dziecko... czekając na deszczu, dopóki córki nie ujrzy. Ale nogi nie chciały już słuchać — pierś zaczęła wyrzucać sam kaszel... kaszel suchy, długi, ostry jak drapanie wichru, co się przez wązki komin przedziera...

Stara już nie mogła wychodzić z domu — więc mnie na zwiady wysyłała — a gdym wracał, pytała ostatnim głosem: a cóż? A nic — odpowiadałem, a matka dalej dusiła się od kaszlu. Raz wróciłem i matka już nie powtórzyła zwyczajnego — a cóż? Nie powtórzyła, bo już jej na świecie nie było...

Zawiózłem ją na cmentarz, a do trumny, w ręce włożyłem czepeczek haftowany, który uszyła na pierwszą komunią dla swej córeczki. Córeczka miała go na głowie przy pierwszej komunii... O niego stara prosiła kilka razy, kiedy jeszcze mówić mogła. Dałem jej go.

— Ojcze! ojcze! litości! — zawołała okropnym głosem nieszczęśliwa i padła na kolana.

— Gdzie byłaś przez ten czas? — zapytał gwałtownie starzec, jakby jękiem córki został znowu przywołany do walki z rzeczywistością. — A! ludzie mówili mi, że cię widzieli w mieście. W mieście na służbie, ale na jakiej służbie! Gdzie wasza córka służy, pytali mnie z przekąsem, a ja im odpowiadałem: ja nie mam córki! nie miałem nigdy żadnej.

— Wszak to wasza Kasia, — znowu zaczynali.

— Alboż to jedna Kasia na świecie! A gdy nie ustępowali, gdy języków pod zęby jeszcze schować nie chcieli, pogroziłem pięścią i kijem, zapowiadając, że kto mi wspomni o tej Kasi, o mojem dziecku, to łeb jak psu rozbiję.

I znowu nastała w izbie straszna cisza, przerywana dyszeniem starca, jękiem kobiety i rozkosznym śmiechem dzieci.

— Ale nie rozbiłem nikomu głowy — zaczął znowu starzec — bom już nikogo nie spotykał. Nie śmiałem wyjść z tej izby, nie śmiałem nikomu spojrzeć w oczy, byłem jak kryminalista co się chowa przed sprawiedliwością... A kiedym musiał koniecznie wyjrzeć na świat i przez wieś przechodzić, zdawało mi się, że wszyscy oni pokazują mnie sobie palcami jak jakie widmo, jak zmorę, jak zarazę, co do ich domów śmierć przyniosła.

— Precz ztąd! — zawołał gwałtowniej, gdy córka przypełzała mu do nóg. Niech cię tu nikt nie zobaczy, gotowi powiedzieć, że mam córkę, gotowi mnie nazywać szczęśliwym ojcem!

— Ojcze, ojcze! — wołała kobieta.

— Czy ty pójdziesz ztąd! — krzyknął stary i pięścią zamierzył się na nieszczęśliwą.

— Zlituj się! — wołała a stary porwał ją za ramię i chciał wyrzucić za drzwi.

Szamotał się — kobieta nie ustępowała, nie puszczała jego kolan — cierpliwie znosiła popychanie i złorzeczenia.

Straszna, świętokradzka walka się toczyła, walka pomiędzy zemstą a przebaczeniem.

Wtem wbiega do izby dziecko rozpromienione zabawą; rumieńce ślicznie malowały wybladłą twarzyczkę, złote włoski, rozczochrane podczas zabawy, spadały na spocone czoło i turkusowe oczy.

Dziecko zdziwione wpatrzyło się w matkę i starca, a przekonawszy się, że to matka płacze, że starzec ją odpycha a ona odejść nie chce, zawołało, jakby stając w obronie pokrzywdzonej:

— Mamo czego ty płaczesz! Mówiłaś, że idziemy do dziadka, a ten cię bije.

— To twój dziadek — wymówiła kobieta, tuląc dziecinę do piersi.

Dziadziu, czego chcesz od mamy? — zapytało dziecko wpatrując się w starca anielskim wzrokiem.

I starzec wpatrzył się w cherubinka; zaczął mrugać oczyma, brwi to podnosił to zniżał, chciał coś przemówić, chciał wznieść rękę, chciał wstać i uciec, ale nic z tego zrobić nie zdołał... tylko zalał się łzami...

Zaćmienia księżyca.

Najdawniejsze zaćmienia księżyca o którem posiadamy dokładne wiadomośsi, miało miejsce przed 2600 laty w Babilonie. Zjawisko to rozpoczęło się około dziesiątej godziny 19 Marca 720 roku przed Narodzeniem Chrystusa i było obserwowane przez chaldejskich magów. Najdawniejsza jednak wiadomość o zaćmieniu, tylko mniej od poprzedniej szczegółowa, sięga roku 2550 przed Narodzeniem Chrystusa. Wówczas jak głoszą święte księgi chińczyków, astronomowie Ho i Hi przepowiedzieli mające odbyć się zaćmienie, za co zostali śmiercią ukarani, gdy przepowiednia ich się sprawdziła.

W roku 1877 mieliśmy ostatnie zupełne zaćmienie księżyca, prócz którego astronomowie przepowiadali jeszcze kilka innych w bieżącem stuleciu. Jedno z nich wypadła w roku 1880, mianowicie 16-go Grudnia, inne w następujące daty: 20-go Kwietnia i 4-go Października 1884; 4go Listopada 1892; 11go Marca i 4go Września 1895; 27-go Grudnia 1898 i 23-go Lipca 1899.

Po dziśdzień zaćmienie księżyca wywiera dziwny wpływ na ludzi, szczególniej niewykształconych. Lud u nas uważa je za przepowiednię wojny i głodu, i z zabobonną trwogą nań spogląda.

Cóż dopiero mówić o innych ludach, na nizkim stopniu cywilizacyi stojących, lub do których dotąd nie dotarł jeszcze ożywczy promień oświaty.

Indusi, naprzykład, sądzą, iż zły duch rozpostarł czarne swe skrzydła, by księżyc od nieba oddzielić. Skoro więc tylko zaćmienie nastąpi, spieszą do rzek i zanurzają się w nich po szyję, by tym sposobem zabezpieczyć się od złego ducha.

Talapani, siamscy kapłani, dowodzą, że cała umiejętność europejskich astronomów, przepowiadających zaćmienia, na tem tylko polega, iż są dobrze powiadomieni o apetycie smoka, który chce połknąć księżyc. Podobnie ludy zamieszkujące nad Nilem, koczujący Beduini nad brzegami Jordanu, mieszkańcy pustyń Afryki wierzą w istnienie owego smoka i starają się go odstraszyć wystrzałami, okrzykami i hałaśliwą muzyką. W ten sam mniej więcej sposób postępują Turcy, a nawet Grecy, którzy wyprzedzili w starożytności inne ludy cywilizacyą; i ci uwierzyli, że księżyc podczas zaćmienia kryją czarownice, by módz bezpiecznie pozatruwać trawy i wybić ludziom zwierzęta.

Praktyczne rady.

— **Nowy chleb.** Rosyjski urząd wojskowy zaprowadził nowy rodzaj chleba, który tak się wyrabia: Usunąwszy z zboża wszelki chwast, kamyczki itd. oczyszcza się je w maszynie, a następnie sypie do kadzi, gdzie ziarno przez kilka godzin musi się moczyć w gorącej wodzie. Łupina ziarna przez to zmięknie. Ziarno sypie się potem do maszyny (młóckarni), z której jako twarde ciasto wędruje do ugniatacza. Tu się do niego dodaje nieco kwasu, młodzi, mleka, soli itd. i kładzie następnie do form; z formy wkłada się ciasto do naczynia, gdzie się zaraszcza w przeznaczonem na to miejscu. Gdy porządnie się ciasto zarościło, wkłada się je do pieca, umyślnie na ten cel urządzonego a ogrzewanego gazem, takim samym jakiego się używa do motorów. Chleb w ten sposób zaprawiony zawiera podobno dwa razy tyle składników pożywnych, co nasz chleb biały, a przytem ma być i dla zdrowia korzystniejszy.

— **Zamiatanie mieszkań i odświeżanie w nich powietrza.** Zwykle przy porządkowaniu mieszkań otwierają się okna, lufciki, piece i wówczas zaczynają się energiczne przetrząsania pościeli. Po ukończeniu tej operacyi, następuje również energiczne zamiatanie podłogi szczotkami lub ścierkami, przesuwanie stołów, kanapek, krzeseł i ławek. Z powodu otwartych okien, lufcików i pieców, w pokojach przeciągi źle działają na zdrowie, a kurz i pył wznoszą się i kotłują. Panie gospodynie zapominają, że powietrze zimne, jako cięższe, wpływa przez okno lub drzwi z dołu i wypycha cieplejsze, co wywołuje w pokoju gwałtowny ruch powietrza, napełnionego kurzem, poruszanym szczotkami. Kurz osiada na ścianach, suficie, piecach firankach i wszelkich zakątkach. Jeszcze się powietrze nie uspokoiło i kurz nie osiadł należycie, a już następuje ścieranie go z różnych przedmiotów. O ile uspokaja się w pokojach powietrze, o tyle kurz znów osiada, gospodynie dziwią się, zkąd się on bierze, lub przypisują winę pokojówkom, że niedbale zamiatają i ścierają.

Cały sekret zależy na tem, żeby słanie łóżek, zamiatanie pokojów i ścieranie kurzu odbywać przy zamkniętych oknach, lufcikach i piecach. Im spokojniejsze powietrze w pokojach, tem łatwiej usunąć kurz przy zamiataniu i ścieraniu, a dopiero to wykonawszy, otworzyć okna lub lufciki dla odświeżania powietrza.

Rozmaitości.

* **Wytrzymałość świni.** Gazety donoszą o wypadku, że świnia może żyć bez wody i mokrego pożywienia 25 dni. U pewnego obywatela w Skarlinie w Prusach Zachodnich zaryła się świnia w słomę w stodole. Nikt nie wiedział, gdzie się podziała i już o niej zapomniano, gdy ni ztąd ni zowąd posłyszano razu pewnego szelest przy deskach w stodole; świnię wydobyto jeszcze żywą, choć nadzwyczaj wynędzniałą. Przez cały ten czas żyła wyłącznie koniczyną.

* **Ile jest rodzajów lawin?** Są cztery odrębne rodzaje lawin: jedne, w których śnieg i lód zamieniają się w drobny pył, tworząc błyszczące, srebrzyste chmury. Podczas spadania wydają one łoskot podobny do uderzenia piorunu i są bardzo niebezpieczne, gdyż wstrząsają powietrze w około. Drugi rodzaj lawin nosi nazwę pełzających: olbrzymia masa śniegu stacza się zwolna z pochyłości. Lodowe lawiny składają się z brył lodu, oderwanych od lodowców i spadających w doliny; są one najmniej niebezpieczne i najczęściej zdarzają się w lecie. Właściwe lawiny, najniebezpieczniejsze ze wszystkich, utworzone są z olbrzymich mas śniegu, które oderwawszy się od gór, spadają w doliny, niszcząc wszystko po drodze.

Bywają one niekiedy ogromnych rozmiarów; z dwóch lawin spadłych w roku 1885 w górnych Włoszech, jedna zawierała 45 tysięcy, druga 250 tysięcy ton śniegu.

* **Wpływ miedzi na płomień.** Jeżeli weźmiemy kawałek grubego drutu miedzianego i jeden jego koniec osadzimy w drzewie, drugi zaś zwinięty spiralnie, założymy w około płomienia zapalonej świecy, to płomień zgaśnie natychmiast. Miedź, jako dobry przewodnik ciepła, szybko ostudza płomień, który dłużej palić się nie może.

* **Jak długo żyją zwierzęta?** Niedźwiedź i wilk rzadko żyją dłużej nad lat dwadzieścia, lis od dziesięciu do czternastu, zające i wewiórki ośm. Lwy są długowieczne; lew z ogrodu zoologicznego w Londynie ma już siedmdziesiąt lat. Słonie podobno mogą żyć lat czterysta i dłużej. Kiedy Aleksander Wielki zwyciężył króla indyjskiego Porusa, wypuścił na wolność słonia, który ocalił mu życie. Przywiązał do szyi słonia dokument, stwierdzający ten wypadek; w trzysta pięćdziesiąt lat później, poznano zwierzę po tym znaku szczególnym. Nosorożce żyją tylko dwadzieścia pięć lat. Kury, indyki i perlice dwanaście. Króliki żyją od lat ośmiu do dziesięcu; osły, konie i woły najwyżej dochodzą do trzydziestu pięciu. Pies dwudziestoletni jest osobliwością, dla kota lat piętnaście stanowi kres życia. Gęś trzydziestoletnia byłaby cudem; szczygły i wróble mogą dojść do dwudziestu pięciu lat; pelikany, orły, kruki i papugi żyją niekiedy lat sto i więcej. We Florencyi żyje papuga, która od trzech pokoleń jest w posiadaniu jednej rodziny. Karpie także dochodzą do stu pięćdziesięciu lat

* **Gdzie są najbogatsze pokłady węgla?** Największe pokłady węgla znajdują się w Chinach; w jednej tylko prowincyi Chan-si rozległość ich wynosi 14,000 mil kwadratowych, zawartość zaś jest obliczona na 730 miliardów ton metrycznych. Przypuszczając, że świat zużywa rocznie 300 milionów ton, to pokłady węgla w Chan-si wystarczyłyby na 2,443 lata. Jest to najlepszy antracyt, w wyższym jeszcze gatunku niż wegiel w Pensylwanii, znany ze swej dobroci.

ŻARTY.

Odwołanie.

Twierdzenie moje, że w mieście jest dużo ludzi, których Tomasz oszukał i okradł, odwołuję i chętnie wyznaję, że przeciwnie dużo ludzi jest w mieście, których on nie okradł, ani oszukał.

Przy stawce.

Lekarz sztabowy: Czy masz jaki błąd?

Rekrut: I owszem, mam krótki wzrok.

Lekarz: A jak chcesz to udowodnić?

Rekrut: Bardzo łatwo! Czy pan widzi ten gwóźdź u posowy?

Lekarz: Widzę.

Rekrut: A ja nie!

Powód do rozwodu.

Sędzia: To już 30 lat z sobą państwo żyjecie i teraz na starość chcecie jeszcze brać rozwód?

Mąż: A no, nie dziwię się panu wcale, panie sędzio, iż pan się zdumiewa, jako ja mając taką Ksantypę za żonę nie zgłosiłem się o to już prędzej! Stało się już raz głupstwo, ale choć późno jeszcze chcę naprawić!

— Pójdziesz Maryanna na pocztę i wrzucisz ten list do skrzynki.

— A czy mam poczekać na odpowiedź?

Do Szanownych Czytelników!

Szanownych dotychczasowych naszych czytelników prosimy, ażeby nam wiernymi pozostali. Niechaj nie pozwolą, ażeby upadło prawie jedyne ilustrowane pismo polskie, wychodzące pod zaborem pruskim. Nie sama polityka nas zbawi. Koniecznością co prawda jest wiedzieć, co się na świecie dzieje, ażeby z tego wysnuwać nauki dla obrony naszej narodowości, ale w wirze namiętności politycznych tem większą koniecznością jest uszlachetniać umysł i serce, kształcić je czytaniem rzeczy pięknych. Polityka serca nie uszlachetnia, owszem przyczynia się do rozdmuchiwania namiętności i różnic osobistych i narodowościowych, wyjaławia ducha, który domaga się strawy pożywniejszej, takiej, która mu uprzyjemni niejednę chwilę w życiu. Pismo ilustrowane, powieściowe, ma służyć właśnie do wypełnienia luki w pożyciu rodzinnem, ma uprzyjemnić pobyt w gronie rodziny. Ono zdolne najskuteczniej bronić skarbów wiary i języka naszego.

Prosimy naszych czytelników, ażeby nietylko sami „Światło“ abonowali, ale ażeby zachęcali i drugich do abonowania. Przysłużą się w ten sposób choć w drobnej mierze do szerzenia oświaty, która nam tak bardzo jest potrzebną. Na życzenie gotowiśmy chętnie przesłać z kilka numerów do rozdania.

Administracya „Światła.“

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.